

JAN STUR

ANIMA NOSTRA



NAKŁADEM ZDROJU
POZNAŃ 1920



JAN STUR
ps. 1917?
ANIMA NOSTRA

PRZEŁOMU CZĘŚĆ I



NAKŁADEM ZDROJU
POZNAŃ 1920

Motto:

Anima nostra non una
solum loquitur lingua.

A-30-159



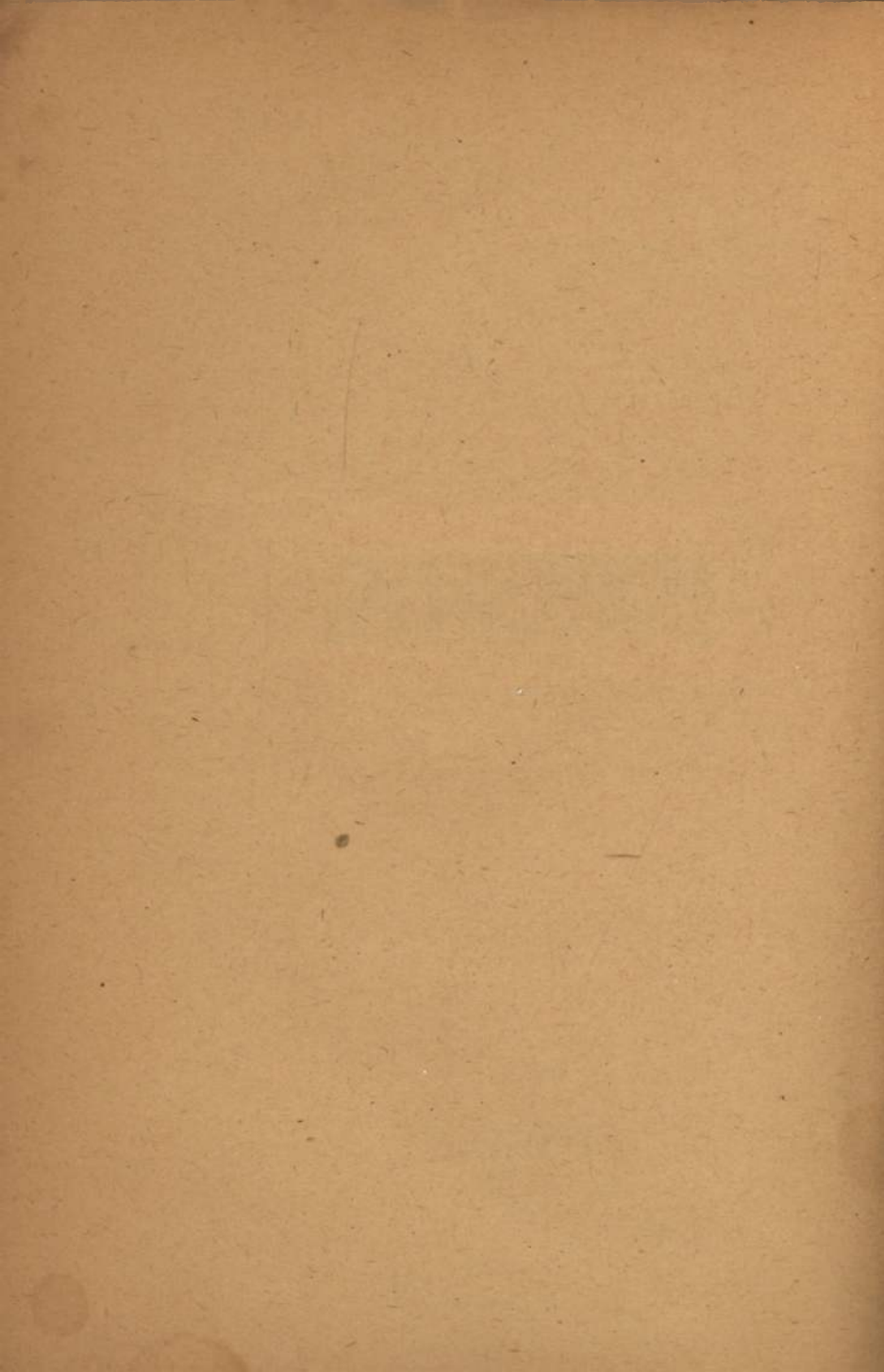
1000171950

2013a

BIBLIOTEKA
UMCS
LUBLIN

K 42/61/33

PROLOGUS



Gdy w domu mego wchodzisz próg,
Pokornie zzuć obuwie.

Zaprawdę, ja wam mówię:
nie wniǳie pycha w chram
nie przerwie modlitw wiernych słuǳ —
sandałów głośny stuk;
gwiazd nie zagasi Mroków kłam:

Zaprawdę, powiadam wam.

ARS LONGA:
FUNDAMENTUM MEUM

WYSPIAŃSKI

Dziewicza puszcza, ljan pełna i pnączy.
 Przyémione światło przez liście się sączy.
 Podróżnik łacno w tym lesie się zbłąka,
 Ginąc z pragnienia, chociaż strumyk rączy
 Jest nieopodal i rzeźwiąca łąka.

*

Dniami, nocami mocował się z myślą,
 kto dźwignie krzyż?

Kto zbudzi ludzi, zaklętych w posągi
 śpiących na wznak?

Kto sere zbolałych miłością się dłonią
 Dotknie, że lica krwią się zapłonią
 jak ranny ptak?

Kto stary wiary sztandar poniesie
 ku szczytom wzwyż?

Kto spłoszy w lesie ukryte maryl
 zabójczych cisz?

Męczy się. Tęczy kolorów nie zgarnie
 jak zboża snop!

Nie schwyje nici tajemnej, co wiedzie
 przez myśl do wrót!

Przeto zarliwie ciskają wyrazy,
 Wargi rycerza bez plamy, bez skazy,
 prosząc o cud.

Oczy ochoczy wtem widok uderzy:
 wśród siana kop
 Kosani mierzy zagony —
 barczysty chłop.

III

Poeta: Podnoszę ręce do tej światłości,
 Co zmarłej broni akropolidy,
 Do złota, genmy, słoniowej kości
 Pallas-ateńskiej dzidy.

Podnoszę ręce i błogosławię
 Muzykę senną skrzypka-Chochoła,
 Opuszczające wioskę zórawie,
 Osamotnione siola.

A błogosławię niastu i światu,
 Swoim i obeym.

W lazurze,
 Rozplómienną pokryte szatą
 Lśnią gwiazdy, niby łyzy duże.

HEINE

Uśniech, choć w sercu płacz kona,

Błazeńska czapka czerwona,

Dzwoneczków rój.

Bezczelna maska na twarzy,

Ruch rąk: cokolwiek się zdarzy,

Oto mój strój.

BAUDELAIRE

Jeżeli czytasz sonet, który tonie
W blasku bezcennym kosztownych kamieni,
Jeśli wiersz tęczy barwami się mieni
Upojne w okrąg rozsyłając wonie; —

Jeśli w występku rozpasaniem gronie
Szatan - Zwycięzca krzyczy: potępieni!
Jeśli czytając pomyślisz: Helleni
Wnetby stłumili śmiech przy Sympozjonie,

Gdyby wiedzieli, że dusza człowieka,
To jeno żądy zgłodniała Megera,
Że człowiek dobry, to jeno kaleka; —

Jeżeli z każdej stronicy wyziera
Od lez nabrzniąta, czerwona powieka: —
Mówi do ciebie tragizm Baudelaire'a.

ARS LONGA: EGO

Podchodzi twórca, bijąc ukłony
Z sercem na tacy,
Kędy dziwują się panny, matrony
kunsztownej pracy.

Twórca przystanął. „Wielmożne pany —
Skomli — co łaska“
Więc jeden z gości da pieniądz miedziany
A drugi klaska.

Ów — zauważył, że drga przepięknie
Serce na tacy.
Hojna zapłata! Lecz czemuż nie jęknie
Nikt zamiast płacy?

Die Bibel spricht:

Und bin ich keiner der Auserwählten,
Und erzähl ich, was andere längst schon erzählten,
Und bin ich ein fahler Abglanz von Szenen:
Von Gottes Worten und Trachten und Sehnen,
Man nennt mich das heilige Buch.

Die Bibel spricht:

Und bin ich nur einer der vielen Verkünder,
Ich heile das Kranke und mach es gesünder.
Und bin ich ein Werkzeug geborgter Macht,
Und hab ich mein Wissen vom Leben gerafft,
Mein Wort, es bekehret, mein Brodem schafft.
Man nennt mich das heilige Buch.

Błogosławiony szept głuchej zawiści,
Co prawdę w całun śmiertelny omota:
Przez nią się bowiem dzień czekany ziści,
W którym zwycięska zmartwychwstanie cnota.

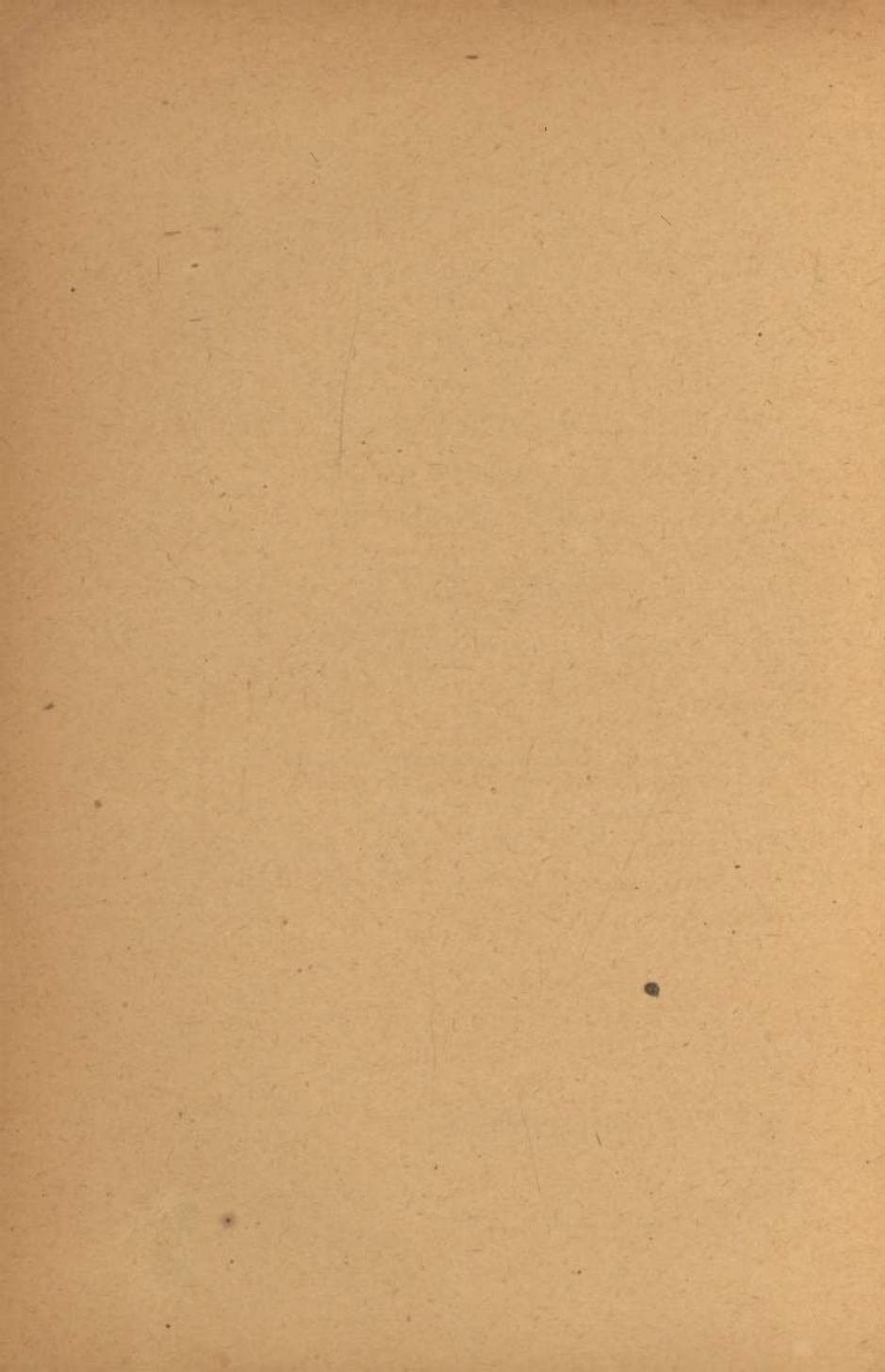
Błogosławiony krzyk głośniejszy potwarzy,
Co w zdawna śpiące bije sarkofagi:
Albowiem wieko kamienne odważy,
By wyjść mógł mściciel, dzierżący miecz nagi.

Błogosławiona głupota, co zmniejsza
Do swych rozmiarów posągi olbrzymie:
Boviem z niej mądrość wstanie nie-dzisiejsza,
Laurem pokory wieńcząc swoje imię.

Nun steh ich an der Weltenwende:
Das Tagewerk ist schon zu Ende,
Des Lebens Mühe ist vollbracht.
Reich mir den Trank, den Wonne-kühlen,
Auf meinen Lippen will ich fühlen
Den Kuss der Nacht.

Zwei Sonnen fallen tönend nieder,
Verbrennen müde Augenlider,
Und malen Bilder purpurrot:
„Der Ruhe kühlende Balsame
Sind nicht für Dich. Du bist die Flamme!
Kenust keinen Tod.“

AFFECTIONES I



Noce moje są tak strasznie białe,
 Noce moje pokazują dziwa.
 Czasem jęk żebraczy w nocy się odzywa,
 Czasem bryźnie śmiechem w nocy twarz zelżywa —
 Dławi godzin chwałę
 Widowisko grozą tchnące a wspaniałe.

Nie wiem, kędy zwrócić unęczoną głowę —
 Potępiénce suną wkoło łóżka kroki, —
 Blaski płowe
 Przetapiają w srebro mrok głęboki,
 Grają, grają. —
 Zapomnianych dźwięków dni echowe
 W krwi osnowę
 Wiodą gór minionych potrzaskane stoki
 a smętarna biel gwiazdzista przysypuje boki.

Duch mój patrzy, słucha, załamuje dłonie
 I w swej głębi i w swej mocy i w swej zjawie tonie,
 I wyciąga ręce ku nim. I się trwoży o nie.

Czy to dłonie? Czy to ręce?
 Duch mój patrzy, duch mój słucha, duch mój w sobie tonie.

Nie! To skrzydła są łabędzie!
 Nie! To usta są dzieweczce!
 To serce w robronie.

A to pokłon jest oddany kraśnej dziwożonie!

A to pokłon jest oddany w sen spętanej męce,

A to — zorza płonie —

A to pokłon jest oddany — Boże! już? — jutrzence!

Śnią się jakieś pośmiewiska,
Karłów rozbastwione echa,
Podpalona swojska strzecha,
Król, co swoich ludzi niecha,
W błoto ciska.

Jakieś tany i organy,
A fałszywo dmiące, grzniące,
Szyszak w dwoje połamiany,
Pokruszone winne dzbany,
Ślepe — słońce!

Szarpie duszą i rozrywa
Dysharmonja snów zelżywa,
Pędzi w różne, w sprzeczne strony!
Pada w końcu baśń nieżywa,
Skuta w pyszną moc ogniwa
Jak anioł strącony.

Siehst Du die fliegenden, wehenden Mähnen,
Die Nüstern erbeben, wollüstig sich dehnen?

Komm mit, komm mit! —

Vom tollen Ritt

Sing ich ein wildes, unbändiges Lied:

Durch der Steppe grüne Weiten,

Werd' ich reiten.

Auf dem nimmer müden Pferde

Jag ich um die ganze Erde.

Schwimmen werd' ich durch das Meer.

Kreuz und quer.

In den Himmel werd' ich steigen,

In die Hölle werd' ich fahren,

Tanz mit Satan einen Reigen,

Töte Gottes Engelscharen.

II

Ich will! Ich muss! Es soll vergessen sein
„Der falsche Freund“, das „süße Mägdelein“,

Das ganze dumme Leben.

Gefühllos bin ich, taub und blind

Zermalme Vater, Mutter, Kind,

Ich reite nie daneben.

III

Die Wälder brennen lichterloh,

Schon nähert sich der Gott der Rache.

Mein unbeugsames Ross erwache!

Durch's Flammenmeer!

Hoito!ho!!

O starym dziadu piejącym fałszywo,
Na nutę sentymentalną
Pieśń spiewam. Ludzie, co wążek jej pojną
Nigdy w łeb sobie nie palną.

Bowiem odkryję wam smutek żywota
Z dziwną zmieszany słodyczą,
Przeto niech każdy z słuchaczy rozmota
Nić tajemniczą.

Przystanął. Usta do śpiewu otworzył.
Złazą się zewsząd dzieciuchy.
Nie słyszał wyzwisk ani oklasków —
Był głuchy.

Potknął się. Garnków glinianych dokoła
Leżą rozbite czerepy.

Nie zauważył ni przeszkód, ni gestów:
Był ślepy.

Powstał. Dłoń prawą na sercu położył.
Bezwładnie zwisa dłoń lewa.
Trzykroć psotnikom poważnie się skłonił
I — śpiewa.

Taki wielki, wielki sen
 O życiowym bezhołwiiu
 O purpurze na wezglowiu, —
 Na niej włosy, niby len.

Białe, siwe, a tak młode.
 Zatraciły swą urodę
 Wśród utarczki — o co? z kim?
 O serdeczną nicość naszą,
 O wezglowie — na poddaszu.
 Z kim zaś? Nie wiem.

Przy kieliszku marzym, śnim.
 Ot, budujem przyszłość wielką.
 Aforyzmy, żart z kelnerką,
 Z papierosów idzie dym.

Młodość, radość. Nikt nie zliczy
 Podobłocznych miast zdobyczy,
 Śmiechów, krzyków: „Bo to ja.“
 Potem — niby od niechcienia
 Ot — tak — jakoś — człek się zmienia
 — W komóreczce i w pałacu
 Sny się tracą.

— — — — —
 Wiek dojrzewania, znieczulenia.

Kiedy przecie się przypomną,
Gdzieś — w tęsknotę przeogromną
Dawne czasy

na pohybel
niech się śnią!

Nie powstydzicie się zabawy,
Zdobywania młodej sławy,
Iż! nie! perel, co po wieki,
Obok blasku słońca lśnią.

AFFECTIONES II



REGES AEGIPTI

Siedzą poważne i sztywne,
Kamienne i arcy-dziwne,
Wieczność, a wieczność
Bez snów.

Siedzą jak skały i światy
Jak Jeden w cierpliwość bogaty,
Jak nikt i wszystek i ów.

Siedzą wśród piasków pustyni,
Co łomot umarłych czyni
Skrzydłami gryfów i lwic.

Siedzą, jak kręgi dusz, wkute
W dziwną milczenia pokutę,
W uśmiech wiedzących lic.

Gdzieś w Paryżu nad Sekwaną,
 Stoi kościół Notre-Dame.
 We mgle kryjąc twarz steraną,
 Zebrze łaski wieczór, rano,
 U niebieskich, bezlitosnych bram.

Jęczy, sklamrze do księżycy,
 Który niby baletnica
 W korowodzie pjanych nocą chmur,
 Tańczy tango i kankana,
 A pieśń rzeki wyuzdana
 Brzmi od zmroku aż do rana,
 Harmonijny tworząc wtór.

W jakąż to strunę pokornie trąca,
 Zanosząc prośby do stóp miesiąca,
 Co jak Sodomą gore płonąca
 Na niebios szczycie —
 Kościół subtelny a tak bogaty,
 Że stroi księdza w złociste szaty?

W sentymentalną! Prosi o życie!
 Wszystko się bawi wkrąg wyśmienicie,
 W katedrze nudy, pustka grobowa;
 W nocy się pijak modli, lub sowa,
 We dnie przekupka, żebrak o kuli,

Albo elegant, który się tuli
Do malowanej — caca! — damuli!

Do niebieskich bram
Wznoszą się westchnienia,
Płacze kościół Notre-Dame
Opuszczony, biedny, sam,
Lecz się nic nie zmienia:
Z pjaną na ustach rzeka się miota,
Niby uciechy żadna kokota.
Zatacza koła. Nawet księżyc
Piruetami swemi zachwyca.

Ich träume im Spital:

Von Sonnenglutenarabesken

Von Tintorettenmalerei'n,

Von Dschungelfresken.

Von einem blühend heissen Tag

Im Bambusrohr,

Wo Liebe mich umfangen mag

Wie nie zuvor!

Und der Gazellenhufe Schlag —

Kein Nebelflor!

Ich träume von der Zauberschwere

Vom rhythmisch langsamen Gedeih'n

Der Bajadere, —

Vom Sterne-Sprühn und Monde-Funkeln,

Von Augen, die das Licht verdunkeln

Und von des Körpers wundersamen Schein.

II.

Es naht ein Zug von heiligen Propheten

Hoheitsvoll, weisheitstoll.

Es fährt ein alles tötender Wagen

Und Götter werden in Fülle getragen

Und eine Menge wälzt sich daher,

Und ein bunter Drache, behängt mit Lappen,

Wie Koboldmasken, die rundherum tappen,

So viel! und mehr! und noch mehr!

Und es beginnt ein Singen! ein Beten! ein Heulen!
 Und die Körper werden im Ganges gewaschen,
 Und der Schmutz färbt das Wasser und es eitem die Beulen,
 Und der Speichel fließt und die Geschwüre springen
 Und die Schlangen umfassen der Marabus Schwingen
 Und Budda lächelt zu all diesen Dingen!

III.

Es muss nicht Indien sein:
 Ich könnt nach China fahren.

Zu den Opiumgötzen und Dschonken-Korsaren,
 Zu den Schöne-Formen, tiefe Knixe-Typen,
 Die fächeln und säuseln und trippeln und nippen,
 Zu den Männern aus Seide, den Frauen aus Draht,
 Zu dem Volke der Schatten, das kein Leben hat.
 Zu dem Ahnenkultus und dem Geisterspuk,
 Zu dem „Ewig-Gestern“, das sich selbst genug!

VI.

Es treibt mich die Sehnsucht:

Nach Arabiens Perlensande
 Und nach Tibet's hoher Wand,
 Nach dem prächtigsten Gewande,
 Das Al-Raschid noch gekannt.

Nach den Märchen-Wundermären
 Irgendwo und weg, weit weg —

Wo die Menschen Träume wären,
Schiffe ohne Leck.

Alles eins! irgendwo!

Aber bald!

Denn sonst klingt's: es war einmal

Und ist schon verhallt!

Also bald! heiss und bunt!

Dreh dich, Erde, dreh!

Pfirsich — Abenteuerer — Mund —

Wangen — Blüten — Schnee!

Nur nicht hier! Und schon! Und bald!

Bin im Wartesaal:

Wände sind so blind und kalt —

Träum' ich! Im Spital?

INTERVALLUM

Le soleil mourant au delà des montagnes,
La forêt de pins roux : ciel en floraison,
Des vents, qui vers l'Est enseveli s'en vont,
L'air grossis, éventail trop usé du bagne ;

Hurléments joyeux d'un joueur qui gagne,
Trou malin, vorace, s'abattant, profond,
Des voix qui crient : „Poupoulette, ton nom!“
Ennemis douteux du pays de locagne :

La nuit plaintive s'accroche à mes nerfs,
Et d'un œuil furieux tuant les étoiles,
Croit avoir tué l'Etendard Vert !

Mais l'Espoir blessé aux rayons fins-pâles
Amène, bousculant l'ombre du desert
— Souffle saint de Dieu — l'Aurore boréale —

Et les cris redoublent : Christ ! Christ ! où es-Tu ?
 Et rien ! La musique s'affole.
 Il n'y a rien. Nul printemps, nul idole,
 Nulle beauté, nulle sagesse !
 Une voix vengeresse,
 Angoisse, détresse :
 Nous souffrons autant !
 Regardez les ailes battant
 L'air qui s'efface,
 Le cœur qui s'est tu !

Christ ! Christ ! où est-Tu ?

La foule ivre qui cherche s'est accrue.
 Voilà des pinceaux, un linceul, une charrue,
 Une voix douce, une voix bourrue,
 Un son métallique, —
 Et des aéroplanes et des boutiques :
 Voilà le monde
 Qui inonde
 D'une lueur étrange, blonde et violette
 Le ciel silencieux et le déchire et l'émiette —
 Et rien, rien du tout !

Un coup formidable
 Déchire les éclairs ; ivres les tonnerres
 Se changent en givre,

Embrument le chaos vert-gris-et-noir,
 Etouffent l'Espoir
 Dans le sein des mères
 Et détruisent les hangards
 Et font craquer les tours
 Et dépèrent les morts
 Et déjà elles sont
 Au fond
 Des yeux vieillis, terrifiés, hagards —
 Et caressent l'Amour
 D'une langue bienveillante
 De leurs regards bleus
 Et conduisent l'attente
 Vers tout ce que tu veux.

J'entends un mot qui me paraît charmant :
 „Enfants,
 Je connais vos maux.
 Je vais vous récompenser largement.
 Buvez mon sang.
 Mangez mon corps.
 Il est mince, mais fort.
 Il rit de la Mort
 Qui grince,
 Et ricanant encore
 S'applatit et — meurt.

Et je vous bénis, o très-saints buveurs,
 Et je vous bénis, o très-saints mangeurs,
 Et je vous pardonne la croix
 Qui u'a consommé,
 Et que chacun de vous subira désormais.

Alors Marie, de l'été la moisson,
 Du printemps le mai,
 De nos prières le seuil et la portée
 S'agenouilla devant le Violon
 De la Voie Lactée.
 „Ne t'en vas pas
 D'un si leste pas!
 C'est à peine, que jentrevois
 L'écho de tes mains blanches.
 O, mon fils unique!
 Tu es la très-sincère Basilique
 Où des anges
 Que mon lait a nourris
 S'assoient sur des branches fleuries
 Et jettent des lueurs blanches
 Sur mon âme brûlante
 De terreur et d'attente.
 Barres ce torrent
 Qui embaume l'air et absout le monde et s'étend
 En gémissant

Au delà de l'appel
De mon cœur maternel.“

Et celle de Magdala
Toute belle s'en alla
Vers une maison publique
Aux lits profonds, aux rouges briques,
Aux bien payants adolescents
Sans chair, sans cœur, sans amour
Et sans bénédiction d'un rut affamé.
O, culte immonde et vil:
Où est-il? où est-il?

„Je te cherche dans la bouche
Ordinaire et farouche,
Dans le corps gonflé d'un désir soudain, —
Dans le vomissement d'un sacrilège malin,
Dans l'odeur pénétrante d'un torrent de salive,
Qui deshabile et viole et touche la gloire vive,
Pour qu'elle devienne plus humaine et descende
Vers l'amertume de terrestres amendes.“

Que fais-tu, Joseph?
„Je charpente
Sur la pente des collines silencieuses
Une berceuse pantelante,

Qui s'accroche au nef
D'un temple lumineux,
Et cache le deuil des cœurs les plus amples,
Et bâtit de ses promesses le puéril exemple
D'un ciel s'ouvrant au dernier de gueux!"

Voilà le miel, voilà le grenier!
Et nous sommes ici
Et nous sommes là-bas!
Et rien n'est mort et rien n'est moissi
Et il n'ya pas de trépas.

Partout la vie
Enchantée, ravie!
Et les os se lèvent et rapprochent leurs bouts,
Et les doigts se meuvent et les Esprits sont fous,
Et ils sont dans chaque chair: ici et partout —
Et ils sont en Dieu et ils sont en nous.
Amen, Amen, Amen!

AMOR

Du! Weisst Du, was ich lieb' und begehrt?
 Das Meer! das Meer!
 Die Brüste, die schwellen,
 Die weissen, tief atmenden, wogenden Wellen
 So stolz und hehr!
 Die schimmernden Arme, so sanft, so weich,
 Sie zieh'n mich sogleich
 In's unergründliche, traumlose Reich.
 Und dann, und dann:
 Du bist ein Weib und ich bin ein Mann;
 Wir toben und rasen,
 Umshlingen uns fest,
 Bis die Sinne vergehen,
 Die Kraft uns verlässt.

II

Es tat so schrecklich weh uns beiden
 Das Sich-Besinnen und das Scheiden.

III

 Ich bin der Tag!
 Ich bin die Sonne! Kom'm morgen wieder
 Und küsse Deine gesenkten Lider,
 Du weisst doch, dass ich Dich mag!

IV.

Ich ging hinein

Und holte mir nichts, als glühende Pein:

Die Sehnsucht —

ich suche und träume

Nur einmal möcht' ich vor meinem Erblassen

Das Rätsel ergründen, des Meeres Grund fassen!

Ich suche und finde —

was? —

Schäume!

Das Blut ist gut! Das Blut hat Mut!
 Es wirft alles weg! Es gibt alles hin!
 Es zahlt dem Tod den höchsten Tribut.
 Das Blut ist weise vom weisesten Sinn!
 Es sehnt sich und wandert und predigt und droht:

Die Adern sind blau und ich bin der Tod.
 Die Adern springen und ich bin das Leben.
 Geniesse die Stunde! Gott hat sie gegeben!

Ich küsse die Lippen, die Büste, das Kleid:
 Die Erde spannt sich himmelhochweit!
 Ich küsse der Wangen schwellenden Brand,
 Der Füße Zittern, den Mund der gestand.
 Und kommt das Sterben zur Wollustzeit,
 Die Welt ist so herrlich! Nichts hat mich gereut!
 Schon nahen blinzelnd goldige Haare —

Das Blut ist rot
 Wie Gottesgebot!

Und dann war Freude gemengt mit Scham
 Zum roten Blute die Liebe kam!

Moje oczy — promienie Roentgena
 Poprzez suknię dochodzą do ciała.
 Moje palce — żarłoczna hyena
 Wypuszczona z klatki, zgłodniała.

Dosyć preludjów! Nie męcz mych ócz
 Pełną skier świetlnych spowily się nocą.
 Jakżeż koronki twej bluzki łopocą.

Hej! suknię zwłócz!

Zalśnij marmurem swojego ciała,
 Niby łan piękna, jak tuż okazała,
 Niemęcz mych żądzą pałających ócz.

Oczy poety — oczy me wieszczę!
 O! jakżeż suknia twoja szeleszcze —
 O czym - że mówi, o czym - że śpiewa
 Włosów jaśminów żółta ulewa!
 Czarne twe szaty, białe twe ciało:
 Tobie się dużo w posagu dostało,
 Tak strasznie dużo!

Fałdy materji ruchom rąk wtórza,
 Bawią się wonnych rytmów szelestem.
 A każda zda się mówić o sobie:
 Rozkoszą jestem.

Umysłów grobie,

Otoś oltarzem, ofiarą, bogiem,
 Kolumną roslą, kadzidłem drogiem,
 Przepychem legend: —

Widzę Paktolu

Strumienie złote, łązy, które bołą,
 Śmiechy, co cieszą, — cedry Libanu,
 Perły, szmaragdy, mądrość koranu —
 Jesteś kobietą kochaną.

Budząc pragnienie, przynosisz ciszę.
 Jakżeż mię głos twój sennie kołysze,
 Nazwę Cię: spokój, Irena!

Dłoń twoja, smukła, jak ręka Szopena,
 Jak śmierć niewinna, dźwięczna i blada
 O duszy twojej cuda powiada.
 Fidjaszowego godna jest dłuta
 Stopa twa lekko obuta.
 Krwawi się róża u boku przypięta.
 O moja! o luba! o święta!

Ty mię zabijasz swą twarzą!
 Ha! już zdemujesz?
 Wilgotne wargi w słońcu się wazą,
 Lekko, swawolnie, jak polna jętka.
 Niby wąż szyja wije się giętka.
 Jak sarniąt dwoje piersi się tulą
 Pod przezroczystą koszulą,

Rozkoszą dysze żyłek sieć modra,
 Jak okręt, boskie kołyszą się biodra —
 Dar Twego łona bezcennie drogi!
 Chyżże Twe nogi! Jelenie Twe nogi!

Dziwnie pierścienie u białych lśnią rąk.
 z poza muślinu i gazy

Prześwieca obłok kuszącej oazy.
 Chwieją się płótna, mech kryje glazy,
 Rodzi się niebo ze snów ludzkich skazy:
 O, niezrównane pokus obrazy,
 Piersi, wy drżące, jak ognia pąk!

Ku ziemi dłoń swą zwracają palmy.
 Pielgrzymi nucą pobożne psalmy:
 Życiem darzącą boginię chwalmy.
 A łuny błyszczą wśród pomroki —
 Czemuż nasz wzrok jest tak głęboki,
 Że jak archanioł męki idzie
 Ku różom twoich lie?

O, wstydzie!!

II.

Zmysły grają, pięknie grają,
 Palce błędzą tam i sam.
 Na klawiszach białych ciała,
 Komponując pieśń o raju
 Gram rozkosznie, pięknie gram.

Uchyl kotary. Czeka nas łoże
 Leśnemi pachnące ziołami.
 Za mało woni: Okna otworzę,
 Jesteśmy sami.

Błogosławiony bądź, cichy wieczorze:
 (Tłmienie zrodziło cię boże.)

Błogosławiona bądź, zgiekliwa noc:
 (Spokój ci noszą prorocy.)

Błogosławiona bądź, jutrzejsza zorzo:
 (Nowe się ziarna w kłosach rozmnożą.) s
 o ty, Niesyta,

Którą Śmierć śmiechem szaleńców wita:
 Bogaty nędzarz, król niewidomy,
 Tłuczę skrzydłami o skalne złomy.

Jestem zwierciadłem, tyś jest obliczem,
 Jesteśmy wszystkim, wszechświat jest niczem.

Wieczności strugi spływają z ran.

Przez okno patrzą strwożone tuje,
 Jam głuszeć jurny, który tokuje,

Tyś Duch! Jam —

Czemuż Twe oczy przesłonięte mgłą?
 Czemuż tve ręce sztywne, — bezwładne?
 Czemuż tve wargi drżą?
 Nie pochloneła nas ognia nirwana,
 Miłości moja, w łzach rzewnych skąpana!

Nie zagubiły się skrzydła labędzie
W puch ciskającym, pienistym obłędzie.
Ani też fala uniesień, co miota
Pod gwiazd szyszaki zładą Don Quichotta,
Orkanem zmysłów — jakżeż Ducha mamy! —
Nie sprzęgle prawdy z marzeń wiatrakami.
Nędza Gehenny jeno się ostała:
Żałość — i skrucha — i rozpacz bez mała. —

Miłość tak umiera jak jesienne drzewa,
 Jak meteorów popękana kora,
 Jak gwiazd purpurowych powolna ulewa,
 Jak wielka jutrznia, chmur boleścią chora.

I.

Wiem, że się kończy i umrzeć nie mogę.
 I czuję głazu oniemiałą trwozę,
 I czuję serca do bram kołatanie
 I żal --- i młot ten, który spada na nie.

II.

Chciałbym z więziennej dobyć się opoki
 Ku innym rajom, które w świat szeroki
 Uczuć, jak tęcza wielobarwnych, wiode:
 Niejedną tylko cieszyć się urodą,
 Ziarnem niejednej żywić się miłości, —
 Lecz być jak ludzie w wierze swojej prości
 I kochać wszystko: zwierzę! Boga! skały!

III.

A jestem oto z bólu oniemiały
 I czuję jeno serca zająkanie
 I słowo zgonu, które pada na nie!

Ich liebte Dich, Du Flammenhafte,
 Du Zauberglocke aus Azur,
 Die aller Töne Gold erraffte
 Und sich verstieg ins Märchenhafte
 Der schaumunggürteten Natur.

Ich liebte Deiner Augen Tiefe,
 Den Bernstein — funkelnden Kristall,
 Wo Dornröschen lieblich schliefte,
 Wenn nicht des Lebens qualvoll schiefte
 Lüge getrübt hätt' ihren Strahl.

Ich liebte Deines Mundes Lachen
 Wie Schlittenscheiben hell und rein,
 Wie weisser Schwäne stolze Nachen,
 Wie Aehrenfelder — und doch brachen
 In Deine Kammer viele ein!

Ich liebte Deiner Sinnensünde
 Tief unterirdischen Palast,
 Der — kennend Menschenleid — verkünde,
 Dass Du durch feurig-dunkle Schlünde
 Der Reinheit Berg erstiegen hast.

Za miłość wielka przyszła na mnie kara,
Spustoszyła łany.

I jestem oto, jak te puste dzbany,
I jestem oto jak kij połamany,
Żadne już ze mnie nie wynijdzie dzieło.

Wyssała soki piękny Duch - poczwara
I poszła w świat.
Zabiła dziecko, które się poczęło
I zdjęła pancierz wśród wielkiego boju,
I zostawiła li bezpłodność moją
I księgę mnogich, niezliczonych strat.

Bowiem o trupy łono się nie stara
I do raz zaschłych nie powraca dróg.
A jam jest pusty, jak one koryto,
Które ze ziaren brzydką wodą zmyto,
I wiem, że taka przyszła na mnie kara,
Bom kochał jeno, choć miał czynić mógł!

INTERMEZZO

Piszę do Ciebie słowo noworoczne,
 A słowem mojem jest proroczy duch,
 Co puszcza światy w kół niezmiernych ruch,
 Mówiąc: „nie spoczne.“

*

W miliardach gwiazd, w stu milionach słońc
 Składam potęgę chęci nieprzebranych
 I marzę —

 a wówczas dzieją się na świecie
 Rzeczy przeróżne: może wstaje świt,
 Może omdlewa róż kwiecie.

*

Tęsknię —

 a wówczas pełne niepokoju
 Z leży przytulnych zrywają się ptaki;
 Od mých widziadeł sny ludzkie się roją,
 A krew ma znaczy ich szlaki.

*

Rzucam ją oto na łąki
 Pachnące glebą i trawą.
 Błyszczą sierpy, już wyszli kosiarze
 I dziewczki w kraśnych ubiorach,
 Pracują wesoło — żwawo.

Tak chce mój Duch.
 Tak nie nie czyniąc, duch mój każe.

*

Jam jest we wszystkim i wszystko jest we mnie:
 Światło narodzin i niebytu ciemnie,
 Miłość do świata i szalony gniew,
 Że wszystko jeno jest moim własnym snem,
 Mą myślą jeno i pragnieniem mem,
 A jam jest — Mają.

*

Tęsknota — znowu woła mię do kraju,
 Tęsknota — idę poza siedm gór
 W obcą dziedzinę; a ludzie tam mają
 Niby ja — duszę —, też tak dziwny twór.
 Ja ptak — rozwijam skrzydła
 I śmieję się ze skał!
 Ja piorun — dęby kruszę,
 Poeta — stwarzam dusze,
 Aby się szatan śmiał!

*

Choć się zamieszkał we mnie od wieka,
 Choć wiem, że nieraz mą wolę pokona,
 Choć droga jeszcze do rajów daleka,
 A dusza moja wędrówką zmęczona, —
 Wierzę!
 W ogrójeu znowu błysnie Duch człowieka,

Poczęty z Prawdy bolesnego łona.
 Cud karmy znając nietyko ze słuchu,
 Wiem: choć nie będę, będę w owym duchu.

*

Ja jestem w Tobie i duch ten jest w Tobie,
 Co żywie w niebios roziskrzonym globie
 I rośnie Zieleń na człowieczym grobie.
 Nie bój się śmierci, nie lękaj się życia,
 Jeno z wąskiego się doładź powicia,
 Zbudź się i pojmiij treść Twojego śniecia.

Bądź sprawiedliwa: także wolce siebie!
 Nie bądź grabarzem, co nadzieję grzebie,
 Bowiem się zjawił kometa na niebie.

A bądź pomocna tym, którzy nie mogą
 Pełną wolności, jak Ty, kroczyć drogą,
 Którym drze ciało ciemisty mms głogu.
 Daruj im szczęście a będziesz szczęśliwa!
 Prorokuj życie — będziesz wiecznie żywa!
 Nie ten, co sadił, owoc z drzewa zrywa.



AMORIS DECADENTIA

MĘCZARNIE!

Dym papierosów, miłości i snobów kawiarnie.
 Pióro nieczyte, brak serca, trzos pusty.
 I myśl pomieszana: groch z główką kapusty.
 Zaś zimą, pod drzew wyłysiałych konturem
 Powrót z „takiem“ licem, jak mój kotek, burem.

*

Daremnie ślepiami w paszczę nocy świecim.
 Czekam na kochankę. Poszła hen! a z trzecim.
 Myślami sam na sam ze sobą frymarzę.
 Nie dziadu nie kupię! Nazbyt zwiędłe, starcze!

Kocha innego!

Cóż ci do tego?

A jednak z bólu — jak pies bity — warczę.

*

Mąż ją posiadał tej nocy. Mówiła mi o tem
 Z uśmiechem zepsutym i głupim trzepotem.
 Budzi zazdrość niechlujną w przyjacielu domu.
 Ja — ją kocham. Wstyd mi. Nie! Ja nie znam sromu.

*

Takie życie mi się nie podoba.
 Nie! nie! To żałoba!
 Granatów wstrętnych — huk wstrętne,
 Zabójstwa na wszystko obojętne,
 I Pan Bóg w górze,
 Który znudzony rzekł: „Oczy zmrużę.

Niech się dzieje, co chce —
 Ja w wiecznym trwam śnie,
 Głupoty ludzkiej z mózgow nie wykurzę.“

Śmierć kiwa z za płota,
 Rozpacz w sercu czyta.
 Przychodzi kalectwo i zębami zgrzyta,
 A gazów trucizna w jedwab mgieł spowita
 Wspiera się na lasce.

Kostur łanki! schudł!
 Przypatrz mu się dobrze. To - ci głód! To głód!

Jarmarczane globy idźcie przez przetargi!

Wpiję się w twe wargi,
 Rozżagwioną dłonią
 Obląpię miłości miodosytnej łono!
 Wkoło twego ciała owinę się płazem.
 Pójdź ze mną! Łoże czeka!
 Pójdź! Będziemy razem!

*

Wiosna hymny śpiewa w mojej krwi.
 Ogniem z żrenie bucha, w sercu tli. —
 Rymy spleta koźlonogie; nruczy tirlili.

Tako siako! a przedemną idą dwie panienki,
 Nogi piękne, warkocz bujny, głosik jeszcze cienki.
 Żle się bawisz, wietrze luby: wznosisz kraj sukienki.

Serce moje puka, puka, bierze mię na spyt,
 Jedna z dziewcząt, oto duszy w kształt przebrany mit.
 A wróbelki z pośród błota rzną: my kwit, my kwit.

Coś mignęło! Cudza żona. Kochanica:
 Lekkie sny zabija szminką lica!
 Kładzie się na oddech ciężkiem ciałem,
 Pełnią życia rozedrganem, szalem!

Idzie wiosny, duszy mit z sobą sam-na-sam.

A ja z cudzą żoną gram
 W miłość — zradcę, w kartę — kłam!
 I nigdzie nie jestem
 i u piekieł bram.

*

„Pojdź tu! Te! Bufeciarka!
 Są ciasteczka?“ — „Przednią marka!“ —
 „Masz pieniądze!“ — „Dobre ciasta?“
 „Dobre! Pieniądz masz i basta!“

Ale ona wciąż się szasta!

Czarne włosy i czarne oczęta,
 Lice młode: niewinność pamięta
 I pierś twarda — zda się — nie zmięta,
 I ust prośba, szepeząca: chłopięta!

Stanęła przed lustrem. Wstążkę rozplata.
 Przez toń zwierciadła błynie twarz ku mnie

Pragnęca wiele, a nadto rozumnie!

Wte lata!

Nie dużom kochała! Ale już nieco!

I oczy świecą.

Czasem tak sobie. Za słowo łaskawe.

Ot, na zabawę.

A zaś niekiedy —: pieniądz tak się toczy!

O! sploty losów i sploty warkoczy.

A zaś niekiedy,

Ot z biedy.

Pomyka,

U mego siada stolika.

Więc słucham, gwarzę.

A nocą przyćmiłem kościołów witraże,

Spługawilem litość i piękno,

(Niechaj się łona matek rozjękną,

Niech głazów młyńskich szukają kobiety!)

Otwarłem wrzeciędzie,

Złoto stopiłem na hańby mosiądze,

Za ciastka — świetne! — dałem jej pieniądze.

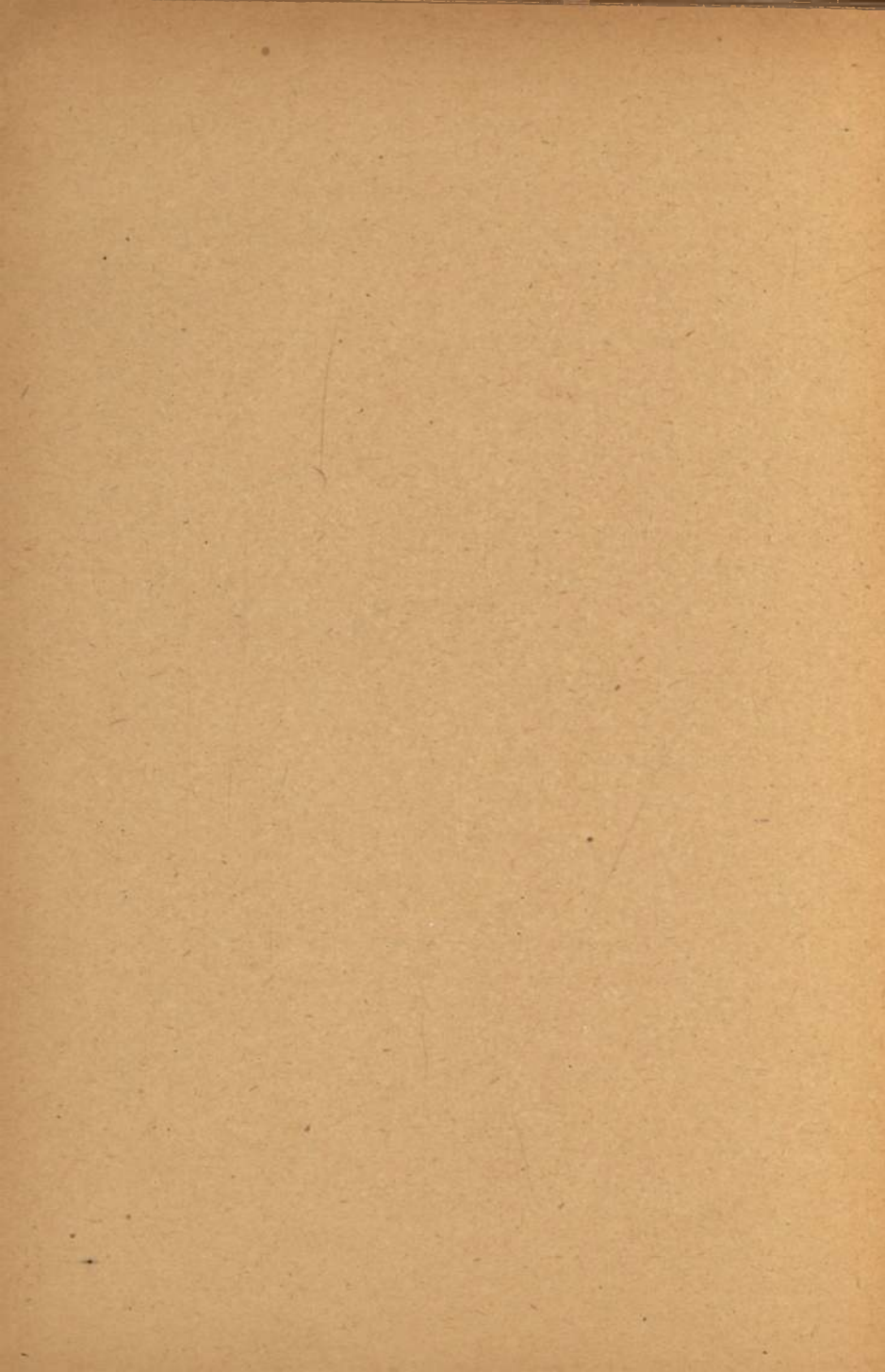
Sen prześniony już się nie śni
wiecej.

Ani jabiek lic rumianych, ani warg czeresni,
ani piersi falującej w takt żądy dziewczęcej —
nie chcę wiecej.

Gdybym mógł, kochałbym. Nie wiem kogo.
Zresztą powiem. Serce swe zawstydzę.
Wstyd rozpruję słów ostrogą.
Rozognioną lawy drogą
Zinno swe zohydzę.

Gdybym mógł — kochałbym. Może — ciebie.
Lecz — zapóźno!
Piersi ma bowiem jest komorą prózną.
Na serca pogrzebie
Wichry złe
Tańczą, wyklinają, upijają się.

AMORIS .PHILOSOPHIA



Miłość! Z Bożych wyzwala się szpon!

Zmaga się! żarzy!

Jest!

Utrafia w ton!

Zwiewna, jak mglistych pejzaży

— ona! — ona jedna! —

raj!

Meżna, jak mądrość,

siwa, jak skraj —

Ty się nie lękasz? nie przeklinasz

grobu,

który się wlecze, jak cień

a jest? — — —

nie powiem!

Nie! nie!

Nie jest mną, ni tobą!

a jest

— Ty! ty się lękasz?! Ty przeklinasz?! —

Nia!!!

Ona!

Ona jedna

nabiega krwią

i lzy tak śnią

i wesele

i plama zła

i dobra, jasna plama:

kobieta, prostytutka, dama,

mięszają się, tną,
przecinają swe ciało —

Są!

W jedno się sprzęgają!

O grudnie zimnej Afrodyty!

O lipce namiętności!

O młodości,

maju!

Zgaga!

Brud po kolana.

Zaczerwienione, niewyspane oczy
z rana.

A z pomroczy

Smok dobywa swe cielsko i sprosności toczy

Na wzgórze złud.

Blaga!

I zbrodnie

Wywijają rękoma chudemi.

Splodziła złość tę -- miłość.

Z ziemi grząskie wylażą pochodnie,

Chybocą się, płoną,

Miłość je płomienną urzekła koroną!

A wtem — tworzywo!

Żar z ciała czyni piosnkę nie zelżywą,

Drutuje, przekuwa,

Zamienia w gaj świętości. —

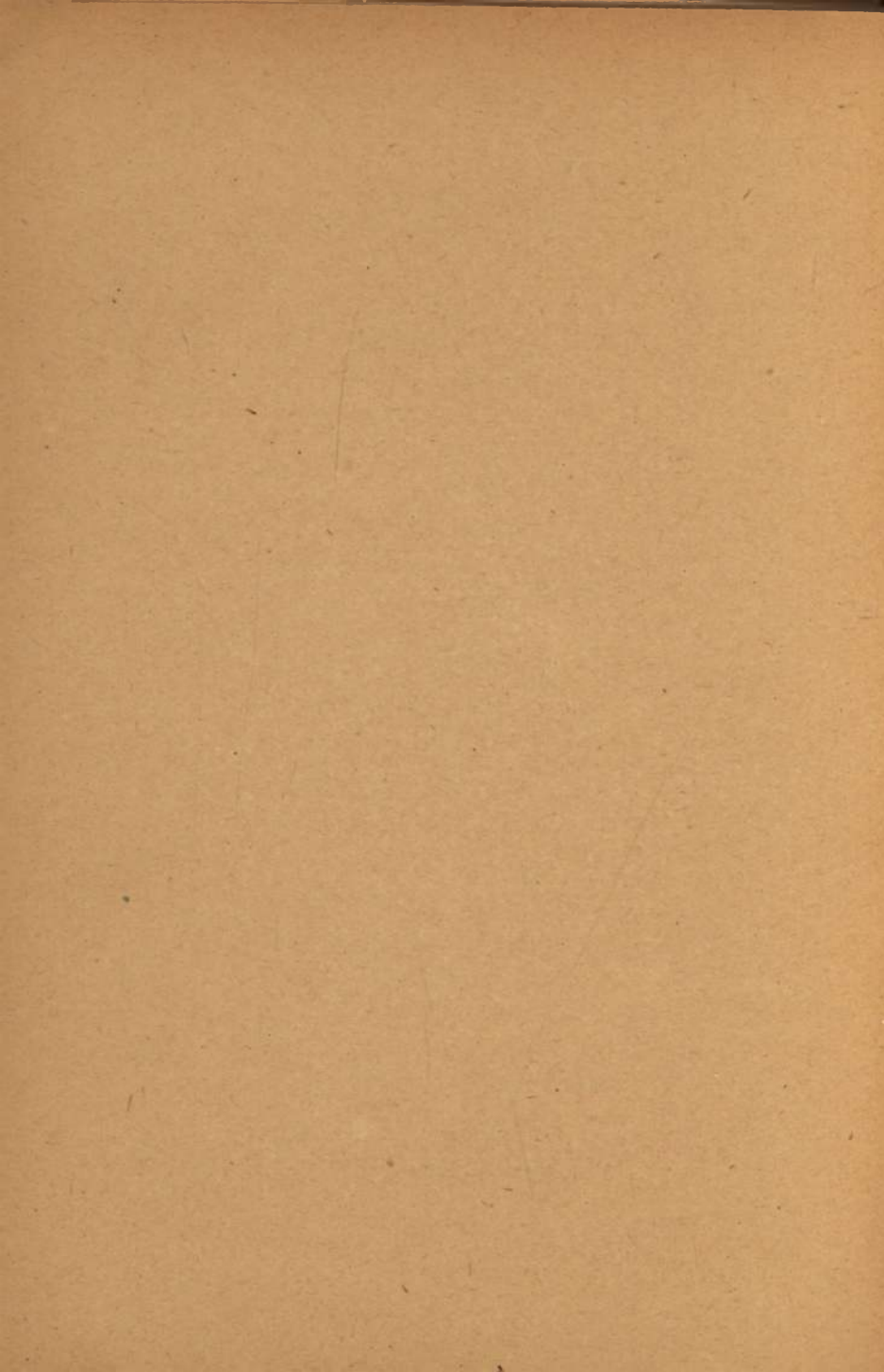
W niebie, u Adama

Zasiadła kobieta, prostytutka, dama.
 Miłość krzyczy! jest!
 Pała! stwarza! żyje!
 Dzieci, bohaterstwa! myśli, poezyje!
 Ten za wstążkę bohater,
 (Aha! Warszawianka!)
 Ten napisał Dziady,
 Odkrył śruby, gwiazdy.
 Wodzi pani — panka.
 Wezuwiusza krater
 Dobywa z pod ziemi

Karcty, podjazdy:
 Eliaszowe technienie
 — Wóz, jak ptaszę śmigły —
 W raj prowadzi ciało!
 Cyt! cyt! coś się rusza.
 Czegoś nie dostało!
 Coś się budzi:

 Dusza!
 Szal! Krew — tysiąc dróg —
 Z szatana poprzez miłość
 jest!
 Chran! sklepienie! próg!
 Wejdźmy! ogień! wrzask —
 śmicch serdeczny —

 Bóg!



INTERVALLUM

Ce n'est qu'un rire amer, qui sur la Mort s'acharne,
Ce n'est qu'un deuil crissant qui s'exalte trop tard.
Des petiots regardant par des grises lucarnes
Sur le monde couvert des hurlements blafards.

Le soleil, voilà tout. Mais nous sommes des grands !
A quoi-bon l'échelle à l'oeil-de-boeuf morose ?
Montons comme le pêcheur, qui de Dieu s'éprend
En un rut touffu de saintes apothéoses.

Sous la beauté céleste en mille écueils épars,
Somnambule tragique je me décompose
Et je m'en vais attaché à de sombres chars
Pleuver de l'encens pluvieux sur des petiots roses.

La terre, voilà tout ! L'oeil-de boeuf, la marne,
Mon retour dévoué vers l'âtre triomphant,
Qui jamais trop tard — sur lui-même s'acharne
Et s'élançe vers les cieux pour chercher l'Aimant.

Les soleils s'éclipsent et les étoiles
 Tombent en gouttes flambantes
 De leur routes fatales
 Sur les tentes percées de notre agonie.

Vois-tu les Mères ambiantes :

La Mort et la Manie ?

Le fanal

Qui guide l'harmonieux bacchanal,

La brise

Qui dévore les gothiques églises,

L'autan

Qui tue la bravoure des grands : —

O, triple engrais

De nos tristes, augustes, héroïques marées !

Dieu ! feu follet !

Jadis vers ton ensorcelante ceinture

Volait mon pouvoir en extase si pure,

Qu'elle brisait de ses mains, comme la Mort inconscientes

Le Sésame mystique,

Qui s'ouvre et qui plante

Sur la terre mourante

Le drapeau silencieux.

De la source éternelle, grande gloire des dieux !

Aujourd' hui je vis et bonnement je trafique

Et bonnement je mange
 Les ossements amaigris des Idées, qui changent
 En rôtis succulents, en argent lubrique,
 En joie du mal, en mal de coliques,
 En mots paradoxes : je vaines, car j'abdique.

Loi unique,
 Unique prière,
 Babilon, Abdère,
 Esclave, roi,
 Rayon le plus doux,
 Etoffe, la plus chère,
 Du vent le frou-frou
 Du feu la colère :

Moi !

La Vertu
 S'est tue
 Je n'entends que le Vice.
 Ma destinée
 Est trop bornée :
 Qu'elle finisse !
 Que la Mort me couvre de son précipice !
 Que la Manie présante sa pieuse carcasse,
 S'assied à mon chevet,
 Et s'obstinant, entasse
 Mes années
 fanées
 Et mes jours mauvais. —

Et du cygne mourant le sauglant duret
 Et les désirs marâtres
 Qui naissent pour combattre
 Le mal
 Et finisse par adorer
 Le jure
 Et le couteau dire qui déchire l'Idéal
 Et dépouille le monde de l'air matutinal.
 Pour tuer les Coeurs et s'emparer du Val.

Que l'autre monde m'élève,
 Qu'il ouvre mes paupières,
 Qu'il chasse la terre
 De mes yeux éblouis
 Tant de lumière
 Tant de pierres étincelants!
 Le soleil luit!
 Et la profonde, hideuse, engloutante nuit?
 Perd son haleine,
 Car la Grande Baleine
 Guette le temps propice
 Et s'élançe et dévore l'Ennemi du Calice.
 Que la corde
 Me morde
 Au cou!
 Que la glaive
 — Sans trêve —

Broie mes entrailles!

Que je m'en aille

A genoux

Au bout de la Vie!

Que mon âme asservie

Par l'avidie envie

Traite mon corps glouton à coup de marteau!

Que ses crachats me cinglent —

Et que le scélestes hâteaux

Dérangent de leurs ancrés les voûtes de mon cerveau!

Je veux! je veux souffrir!

Vienne folie harmonique de l'amour obscène:

Dionyso s'accegeant le calme des Héliènes.

Vienne folie gothique, folie religieuse,

Qui flagelle de ses cris le calme des bercuses.

Vienne folie des poètes, des pompeux héros

Qui s'abat sur le calme sans souci des zéro.

J'ascendis le char! J'ascendis les cieux!

Je vis les folies et Dieu parmi eux!

AMOR DEUSQUE

Es jubelt der Sterne Trabantenchor
Zum festlichen Himmel ein Singen emper.

Ein Jauchzen so gross, wie Freude und Leid,
Wie das Meer so tief, wie die Küste so weit.

Ein Wogen und Schwellen bei Tag und bei Nacht,
Ein Sagen und Rufen: nun ist es vollbracht!

Und Monde lauschen und Sonnen sprüh'n
Flammendes Feuer ohne Verglüh'n.

Und Erden bleiben in Sehnsucht stehn
Für wen das Zeichen? die Liebe für wen?

Es gellen Schreie: werdet gewahr!
Jehowah schreitet zum Traualtar!

Das Weltall schaute, als Gottes Hand
Zwei Elemente zur Einheit verband.

Also sprach Jachwe: in Glück und Pein
Soll Euch die Seele Berater sein,

Und Geist und Schönheit antworten still:
Wir werden stets tun, was die Seele will.

Czem się pocieszyć? Ot, było, nie było —
 Wszak trudno walczyć z Przeznaczenia siłą,
 Wprost niemożliwie! lecz jakże-ż boleśnie
 Za karawanem swej miłości we śnie
 Kroczyć wśród tłumu.

Jest gdzieś pięść, co zgniata
 Ludzi, jak muchy; jest gdzieś wola świata
 Nieubłagana, niby racja stanu.

Wstałem, jak zwykle, o dziewiątej rano,
 Wziąłem kapelusz z żałobną opaską
 I zszedłem na dół. Powiadam Wam: fiasko!
 Tak mało ludzi i z tak zimną twarzą:
 Płaczą — ukradkiem, za to jawnie — gwarzą.

A może znowu podjąć bój
 z przemocą bóstwa wrażą?

Na bezbronne ludzkie stada
 Pan wypuszcza z klatki sępy.
 Szpony ostre i dziób tępy.
 Ciało, — duszę drą na strzępy.
 „Wszecchświat — mówi Pan — to ja!“
 Krew z młodzieńczej bucha rany.
 Wichier gniewu niewstrzymany
 Na oślepię mię gna.

Ku zdziwieniu ciżby kruszę trumny wicko,

Płyną ciemne włosy hebanową rzeką,
Jak strumień stygijski, szeroko, daleko.

Chłodnem tchnieniem śmierci ścięta w lód kaskada
O minionem szczęściu cuda opowiada.

Niechaj przed Mileżeniem się Twojem ukorzę.
Wiosny zgasłe Słońce, życia Martwe Morze.

Przez ulicę gwarne, kędy lśnią wystawy,
Niosę miłość zmarłą, łachman bólu krwawy.

Na szerokiem polu, kędy wodotryski
Płaczą nad mą dolą, trup mi upadł śliski.

Podniosłem go z ziemi, wyniosłem za miasto.
Zegar na ratuszu wydzwonił dwunastą.

Oto brzeg żaloszny szumiącego morza.
Rzucam w toń mój ciężar, — śpij, dziewczyno hoża!

Wędruje uzcuc zórawiany ciąg

W nieznaną dal.

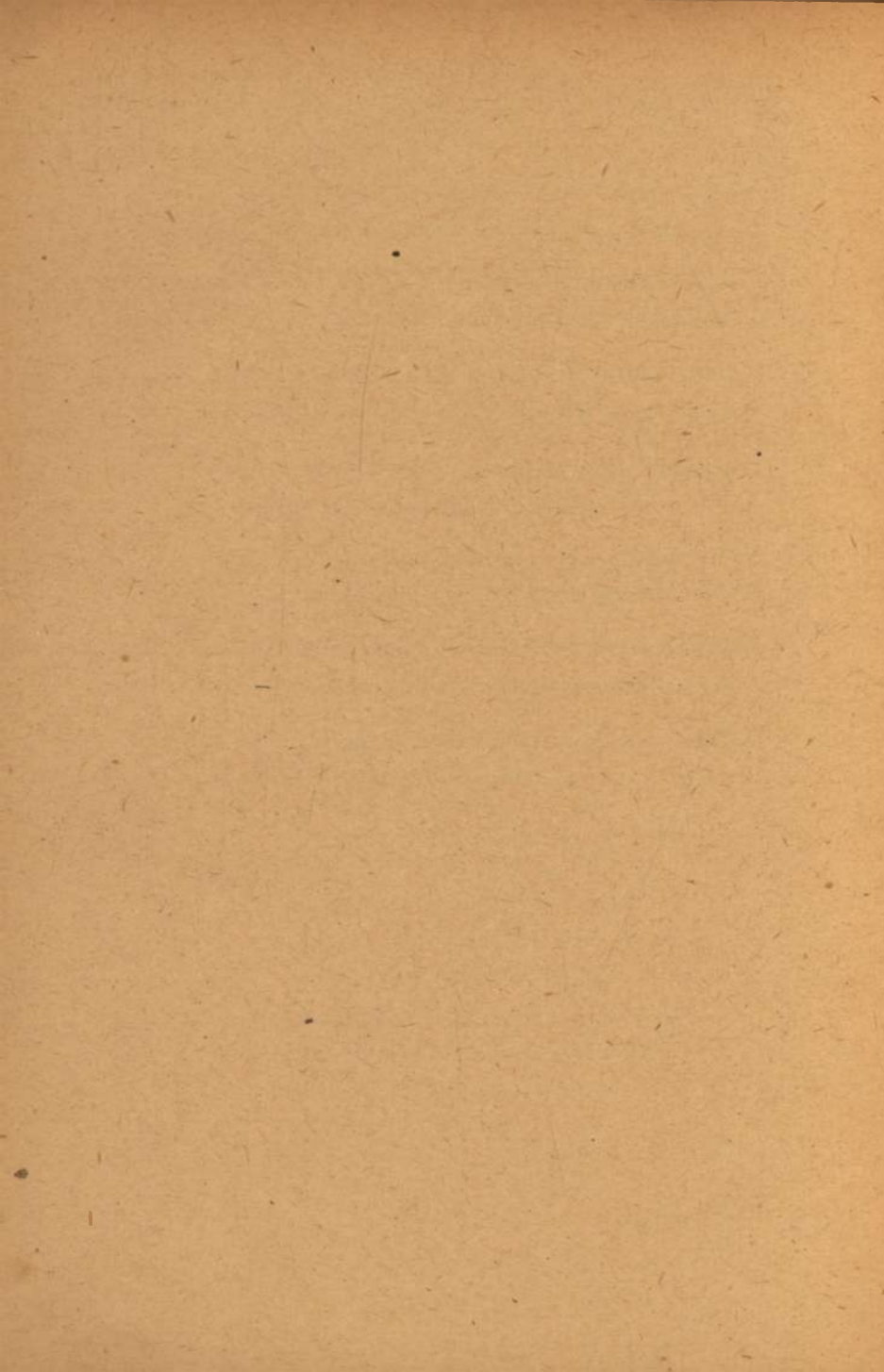
W oślepiających błyskach zachodu

Ostatni taniec pożegnania wiodą

Ptaki — pielgrzyny.

Zostaje po nich wśród skoszonych łąk

Niewysłowiony żal.



DEUS

Wisielca pas ciężki, suty, złotolity,
Korona cierniowa, którą zwiemy dyadem,
Rumieńcem błyszczący róż na licu bladym,
Z nieb odległych spadłe, nieme chryzolity;

Sądowa trupiarnia wiejąca rozkładem,
O niebyłym słońcu gadatliwe mity,
Oczy wyłażące za Pięknem z orbity,
Brata rozpacz, ból, klęska, z których bardzo radem.

Agawa, co kwitnąc w tysiączną noc — ginie,
Trwożliwa dziecina po raz pierwszy w szkole,
Preparat motyla w chemicznym rozczywie;

Przez obieg przed czasem zużyte obole,
Pieśń barda o karze, milcząca o winie,
Psów wycie w noc pełni:

To życia symbole.

Bis wir sterben, sind die Tage so lang
Und kehren wieder so viele Mal.
Wir sind gesund und werden krank,
Und gesunden wieder zu Eisen und Stahl.

Die Erde dreht sich, wie im Wirbelwind.
Samen und Früchte werden geboren.
Es kommt zur Welt manch' Krüppel-Kind,
Es sterben manche Toren,

Der Tod erwartet auch uns. Wir steigen in's Grab
Wankenden Schrittes, unwillig und düster.
Es umfängt uns ehernes Schattengeflüster.
Wir steigen hinab — stets hinab — hinab. —

Sam na sam z ciężarem tak się wloką.
W górę, w dół, zygzakiem, naokoło,
Ku trumience chylą skwarne czoło,
A wciągają klęskę w płuco,
Biedę, bunty i miazmaty.
Tak głęboko, oko w oko,
Spoglądają w pysk pyzaty,
Psiakrew, losu!
Słomę młóca,
Derki niosą,
Z śmicreionością idą kosą
W gaszcza mordy, który wkoło
Ucztę sprawia ci wesołą.
W końcu — giną.

I nie żal ci tych mar?
I po cóż człowiek zmarł?
I w zmętniałym jasnych ócz rozezynie
Nie znalazłeś wezora,
Nie znajdujesz ninie,
Drogi Prometeja wśród sępianych kar?
Dusza chora?
Świat ten ginie?
Rozbestwiony szatan łono Marji stał?

Wyblyska!
Imienia nie znam, nie powiem nazwiska!
Coś!
Z rumowiska!
Ogromne, Nieznane,
Niewiadome! Pęd!
Idące w Nirwanę,
Kojące ranę,
Biel wśród barwnych grzęd!
Bóg,
Który się stłukł
I znowu z gliny ulepił swe ciało,
By się rodziło, w cierpieniu konało
I było wiele i było mało,
I było wszystkim i było zerem
I było prawdą i kłamstwem szczerem.
Woła nas! Przyzywa nas!
Zwodzi nas! Uszczęśliwia nas!
Obciąża nas! Morduje nas!
Wybawia nas!
Dzisiaj i po wszystek czas —
Amen! Amen! Amen!

Głos: Jakób do walki zawezwał Anioła.

Chór: Zbliża się ów dzień, dzień kary.

Z grobu wstają trupie mary,

Chwycą z Stwórcą się za bary.

Głos: Jestem! i swego nie uniżę czoła!

Chór: Przez graniczne pędzą słupy

Nagie, suche, kościotrupy.

Nęcą snąć ich boże łupy.

Głos: Kędyż wszechmocny ukrył się Jehowa?

Chór: Niewidzialna dłoń dosięże

Świątokradcze ich oręże.

Legną wszystkie trupy-męże!

Głos: Jam jest Anteusz! Jam hydra stugłowa!

Chór: Zamknij z chrzestem wieko skrzyni

Książdz, lub księża gospodyni.

Święty krzyża znak uczyni.

Głos: Późno mię widnem chcesz przerazić klęski.

Chór: Choć poznały wielkość Twoją

O dniu zemsty marzą, roją,

Ludzie, — duchy niepokoju!

Głos: Na proch się zetrze mój rydwan zwycięski!

Z głębin nędzy wołałem, wołałem
I sercem modliłem się całym
I brudnym, zgnębnym mem ciałem.

Czołgałem się wczoraj pod wielki
Krzyż matki-wybawicielki.
Dwie poprzecznice, dwie belki!

Uderzył we mnie grom z góry,
Grom ważki, a wielce ponury.
Spłonąłem! Z serca — te wióry.

Zląkłem się. Panie mój, Panie!
Znowu gniewliwe szemranie?
Me rany! Popatrz-że na nie!

Kędyż jest prawda wieczysta,
Że z Buddy, Laotse i Chrysta,
Každy człek mędrzece skorzysta?

Że przyjdzie do mnie pogoda
I siły! siły mi doda!
A cudna! a moja! a młoda!

Przez łany rozkosznych snów,
Przez paszczę armatnich uwielbianą ciszę,
Przez ziemię, która wniebowzięciem dysze —
Idę.

Druhu, bądź zdrow!

Przez odtrąciłem kolisko
Wydarzeń i słów.
Po szezablach idę. Bóg jest już tak blisko —
Już bliżej!

Druhu, bądź zdrow!

A kiedy będę tam w górze,
Nie zapomnę o tobie.
Trumienkę w radości lazurze
Dla twoich smutków wyślubię.

Druhu, o świecie, bądź zdrow!

Wir sind schon da, wir sind schon da.
 Es jauchzt die Seele! Hopsasa.
 Wir sind schon da, schon da.

Wir waren fort, wir waren fort,
 Am Meer, im Schacht, und da, und dort.
 Wir waren fort — o! fort!

Der Weg war braun und barsch und bang.
 Uns tönte Geige nicht und Sang,
 Nur Schattenspiel den Steg entlang,
 So — schlecht.

Und Kröten breit und ekelhaft
 Und Rost am Herd und fauler Schaft
 Und einer fiel — war ohne Kraft —
 Und blieb!

Es wehten Winde, Flamm' und See.
 Sei stille Herz! zum Teufel geh' —
 Er haust im Dreck, ganz in der Näh!
 So? so?

Wir fielen oft und standen auf.
 Es brummt der Kopf. Zu schneller Lauf!
 Friss, schlaf und kämpf! und tanz! und sauf!
 Dann geh!

Und wenn wir Schlechtes auch getan,
Es stellte jeder seinen Mann.
Wir kamen an, wir kamen an,
o doch!

Als uns lieb' Herrgott laufen sah,
Rief er: der Tausend! Hopsasa!
Sie sind schon da! Schon da!

Wstaję! Dźwignąłem pod słońca górę
Noc zbałwanioną, zmienioną w naturę.

Wieżność dokoła!

Promienie krwawe leją się z czoła,
Z palców ściekają ostre rubiny,

A łono, łono,

Kędy uczucia piewszych stworzeń toną,
Wypuszcza śmierci korzeń czarno-siny.
Jam jest! —

Sarkofagi

I baśni kwiatów, miecz helotów nagi,
Bicza poświsty i mędrców odzienie
W przestwór bez głosu i bez barwy żenie

Wola szalona!

Ujmę i pochwycę!

Nieskończoności nakreślę granice
I wpoję orkan, który życiem dysze
W nieurodzajną niemych lęków ciszę.
Zapłodnię urnę spustoszonych prochów,
Wirem wężownic owinę mgławice,
Chmury skroplone wetknę w więzy lochów,
Chuć swą nasycę!

Korzeni! Korzeni!

Niechaj się ciemność w szkarłat spłomieni!
Niech ją ukoi słodycz Rafaela,
A z Rembrandtowskich, potępieńczych cieni

Niech nędza wyjdzie!

Już się wyaniela

I w śmiech szatański kolarzy nirwana,
Wdziwając świty boleściwe rana,
A z stalaktytów niewylanych łez
Wyczarowując początek i kres.

O, narodziny! Pierwszych istot drzenie!

Patrzaj! Roślina

Zieleń baletnic w takt wichru wygina,
W krzewy gęstnieje i wyrasta w drzewo,
Tęskniące szumem: —

„Ewo! gdzie ty, Ewo?!“

Legły zwierzęta u stóp Jabłoni,
Która swą mądrość kuszącą kloni
Ku lwim paszczekom, wężnie jagnięcia,
Saren jedwabnych płóchej źrenicy
I pierwszym grzechom białego Dziecięcia.

A kwiat owocu, kwiat tajemnicy,
Czeka na żądę obarezona dłoń,
Na dnia świętego klątwę wniebowzięcia.

Człowiek powstaje!

O ziemio! trupy! o minione raje.
Zawodzą fletnie — a skrzypce grają.
Rzępolą fujarki — a skrzypce lkają.

A patrząc w nieba zamkniętą stal,
A patrząc w lice pobladłych fal,
A goniąc rozpacz,
A goniąc lęk,
Skrzypce targane dłonią geniusza,
W skurezu bolesnym twarz swą wykrzywiają. —

HOMO, DEUS, DIABOLUSI

JÓZEFOWI WITTLINOWI

Wracam z kawiarni.
 Muzyka grała melodję z operetki,
 Przyjaciel czytał hymn,

Wtem —

Ślepią krwawą wybaluszył,
 Obruził się, obruszył

Kto?

Przyjaciel czyta:
 miłość — dobroć —
 Będzie — przyjdzie —
 Zwiastowanie, święto!

Wtem —

Anioły począł zganiać stojące przy stole
 (a z białych kart
 Sączyły się krople łez
 I kres bólu — i jasny dzień
 i chęć i wiersze i szczerą poradą!)

Anioły z promiennemi czoły
 precz wygania czart.

Sam czart!

i gada,
 spowiada nas z win
 i podpowiada,
 piękne czyny szepteni.
 Byle się Syn

Zmienił w kórówód cieni,
 w słowa tańczące w kawiarni,
 kędy muzyka
 Gra melodję czardasza albo też kankana
 I nogami fika,
 Pokazując pończoszkę
 I coś więcej — i troszeczkę jeszcze, —
 Patrzą. Lubiczne przechodzą mię dreszcze.
 Widzę kumoszkę — Śmierć
 Śmierć — Rozpustę —.
 Piersi tłuste
 Kładzie na stół.
 Rozlewa się fala,
 Więc schyłam się i podaję
 Usteczkom z koralu
 Słowa rymowane.
 Przyjaciela zdradzam.
 Za jeden dotyk — ho.
 A śmieję się — ho.
 A on też — ho — ho: —
 Czarną kawę pije,
 I tyje (tak sławą się tuczy!)
 Powiada, że zwalczył zło
 Tu w kawiarni,
 Kędy rojem obsiedli nas czarni
 W smokingu, we fraku — panowie!
 A jeden mówi: na zdrowie!

A drugi krzyczy:
 płatniczy!
 I szczypią w brodę
 i w łydki
 — O! zwyczaj brzdki —
 Hurmem się garną,
 A mają głowę ciężarną złem,
 Biorą przyjaciela na ręce,
 Nadymają mu płuco
 i chórem mu nucą:
 Tyś wielki!
 A przyjaciel się puszy,
 Ropuchy legną się z duszy, pijanej natchmieniem!
 Rośnie! Rośnie! Rośnie!
 Wskakuje na stół!
 Jam Apis! woła,
 Jam święty wół,
 A świat to stodoła pełna siana dla mnie
 A wszyscy ludzie niech się modlą za mnie
 A me uczucie uczy was niekłannie.
 I tańczy
 I podskakuje
 i w świętym szale
 wspaniale,
 wspaniale
 wygraża rozumowi
 I jak djabliki,

chochliki,
 w trans popadłszy dziki,
 przytupuje i śpiewa — krakowiaka tańcuje
 I ruje
 popuszcza — ho — ho — samo-ubóstwienia
 A mnie zazdrość ocienia:
 Na czarnem duchów tle
 Zielenieję ze złości,
 Że on tak pięknie gada a ja nie,
 Że on o sobie tak pomyślnie sądzi,
 Że on o sobie tańcuje
 i puszy się i dyma
 a jam zdrętwiąły, niezręczny, niemy,
 i jak polarna zima
 biały od zgryzoty i szarpiących nerwów.

Więc chwytam pocichu w komóreczce serca
 Za nóż
 i skradam się — jestem już tuż,
 już wbijam po rękojeść
 wbijam — kręcę — świdruję, —
 Błuzga krew
 Czerwoną skrå
 Na białość mą, na zieleń mą.
 Pada wielkość — ho
 przyjaciela — ho!!
 I liście mej zieleni drżą
 I tracą soczystość

I dygocą

I nocą się skrywają.

Ale to stało się jeno w komóreczce serca —

Bo naprawdę — telórz —

Bo — boo — bo — bbbo — ja się boję!

A ten trzeci — znajomy

oślepl

Ilaha! — Niewidomy!

Kłania się w pas

i mówi:

Człowieku Boże, wybaw-że nas!

Nikt nam nie pomoże,

jeno Ty!

I drży z zachwytu,

Pada na kolana,

Modli się do szczytu ubóstwień człowieczych —

A rana jego ust się ropy —

Grzechami się ropy —

Błudnictwem się ropy —

Mamlącą pokorą —

Chorą wiarą pała!

wije się, piach łyka!

Ja podły!

Ty głupi!

Zaś on —

Zwiastunny dzwon,

Boskości tron

W życiu naszym — jak koło bezsensowem — kupi
Za dwa grosze — poród, za trzy — odór trupi!

II.

Lituję się. I wargi żuję
I krawat mnę
Gorączkowo,
A słowo (nie pawi krzyk,
jeno grot, co wnikł
w sedno —)
kłuje mię, piecze, dotyka!
Słowo jedno: --
świętego, -- proroka, -- ej tam -- ho -- ho -- bzika!
Aniołów połamane serca
Niedbale
W kale
leżące.
Blade twarze — któż z nich ból wymaże? —
Któż gąbką zetrze gorycz kapiącą z warg?
Czarty siadły dookoła,
Skubią, wyskubują —
Aureolę drą!
Pióreczka skubią.
Pióreczka — anielskie — czyste, — gdzież tam — już zwałane!
Nie mogę patrzeć! — nie mogę!
Pięść!
Przeguby cherlaka!

Wola! wola! precz!
 A luzia! a zabij ich! a siecz! a paznokciami drap!
 A łap! a bij!
 A do czarta — czarty!
 A jakim porwał za stołowe nogi,
 A jakim cisnął pułhar z winem drogi,
 A jakim zaczął szarpać za kudły,
 Za rogi! za czerwone języki!
 Zu dusze niecne!
 O! wy stare pryki piekielne!
 O! wy młode nieponie!
 O! kobiety!
 O! tonie bluzgające echem potępienia.
 Łamię krzesła; —
 Basy, skrzypce, trąby, piszczalki
 — co to wygrywały smętliwe kawalki —
 druzgocę,
 Za włos rudy chwytam pończoszkę,
 Kapelmistrza
 — Koszula i serce — no, koszula czystsza! —
 Włokę na dziedziniec!
 Anioły powstają —
 Złoty blask —
 Po kraju idzie wieść —
 Apis znów stał się człowiekiem —
 ślepy przewidział —
 Są skromni — są ludzie — w tużurku,

W paltocie, w enocie i nieenocie.
 Żadne proroki!
 Żadne bogi!
 — ho ho! zrywać boki
 ho ho — o, ty żarcie drogi!
 A zazdrość ma fiut.
 A gdy ich tak grzmocę,
 Te przekłete noce bezdenne,
 Wtem już są kelnerzy,
 Wtem już jest płatniczy,
 Właściciel kawiarni
 i kobiety i oficery i studenty!
 rwetes — krzyk — piski —
 krew, łzy — wodotrwski lodów,
 szampańskich, koniaków, ciasta pogniecone.
 Policja! Machanie dłonią,
 Jakieś dryblasy —
 Wozy! sznury —
 A ja — czmych! Ponad głowami
 Zwyciężonych czartów
 niosą innie anioły.
 W sam raz trzasnąłem drzwiami,
 Jestem na ulicy —
 A tam został przyjaciel, który czytał hymn,
 A tam został ten trzeci, który się zachwycał
 i zazdrość — i surduta mego potargane poły.
 All right!
 do czarta poszły czarty!
 sięją blask anioły!!

HOMO, DEUS, DIABOLUS II

Cyprysów świat i święty jad, wielgaśna przemoc Boża
Stwarzają też bezkresny kres, — żal, co się rozwiemoża.
I ujrzał lud ten ból, co bódl człowieka nakształt wołu,
Ze złem pan brat do ehlewa siadł, ze świnią żre pospołu.
Odrzucił sny, przepasał kły i w łapy weisnął miecze
I boży huf, co wschód, co nów—w człowiecze piersi siecze.
Haha, haha — tak Biesu gra na wojny krwawej fletni.
A z nieba Bóg na ziemi stóg spogląda w wieczór letni.
Zaś Adam z Ewą wyją w głos: gdzie śmierć? My są
bezdzietni?

Wie Lieder singen und sagen
Ward in vergangenen Tagen
Herr Jesus Christus begraben.

Es krächzen die hungrigen Raben.

Ein Bangen. Ein Zittern geht durch die Nacht,
Die Schwerter klirren. Der Satan lacht.
O, Seele, wer wird dich nun laben?

Das Korn im Felde ist merkwürdig rot.
Die Mütter beten und harren:
„Sie haben missachtet mein göttlich Gebot:
Sie haben getötet! sind selber tot!
Die Helden — die Sünder — die Narren!

Es singt der tapf'ren Männer Chor:

Ein ernster Kampf steht uns bevor,

Nur Mut!

Dem wessen Antlitz blass und fahl,

Den trifft sogleich des Feindes Stahl

Und trifft ihn gut.

Es singt der feigen Männer Chor:

Im Winde wieget sich das Rohr,

Es bricht!

Kein Schwert! Kein Herz! Kein Gottessatz!

O laufen wir!! Die wilde Hatz!

Wir kämpfen nicht!

Es singt der frohen Männer Chor:

Und wer sich sorget ist ein Tor.

Gesteh!

Man stirbt. Es ist doch einerlei,

Ob Friedensfest, ob Kriegsgeschrei,

Ob Lust, ob Weh!

Es singt der weisen Männer Chor:

Wir schauen nur zu Gott empor.

Er spricht:

Vertilget Feuerbrunst und Qual

Von morgen, heut und dazumal

Und tötet — nicht!

Z pod czarnej ziemi czarny grzech
Wymurzył leb kudłaty,

Ej, katy!

Rogaty!

Mów dobył z rozszałanych ech

i w śmiech —

a szaty

Dreć począł z Boga jasných dróg,

Plugastwem swem serduszko zmógł

i Bóg (cóż Bóg?!)

Padł pod brzemieniem pustych strzech,

przyémiony blaskiem królów.

A niech tam sobie leży Bóg

Wśród popalonych grzechem smug,

wśród kazirodczych bólów!

Odzieży!

Żołnierzy!

Cudeńkich rozkradzionych szat!

Szablicy!

Krwawicy!

Rozdartych lon,

Zgwałconych żon,

Wysilku! Ładownicę!

A niech tam szeżeźnie prawo sił,

Byle bohater dobrze bił

i świętość,
 ej, świętość
 na żużel piekła stlił!
 Czy słyszysz w krąg? czy słyszysz w krąg
 sprośne delirium mąk?

Leje się ropa z czarnych ciał.

A to-ci Djabeł radość dał!

Z mózgu wypływa kat.

Czy słyszysz w krąg, czy słyszysz w krąg?
 Zawył ci skądciś czarny gong,
 podarte ciała idą w tan —
 i zawył skon przez piersi wlan —
 O zemsto, zemsto ran!

Szaleje krąg, szaleje krąg!

Hej! pada skądciś róży pąk,

Hej! idzie skądciś powiew łak,

Hej! skądciś wrótnie enoty.

I jeno załamanie rąk

I jeno mędrzec, co się zląkł,

Człek dobry, co się wyparł mąk,

O jęk, o grzech, o strach! o śmierć!

O bluzgot krwi! Babel perć! — Modern Armeé —

Golgoty.

AT PATRIA?

Trąbią trąby, bębny bija. Idą.
 Karoce, psiawiara, szable.
 Stańczyk rece załamuje; — śmieje się pół-djable —
 Blask złotawy
 Ropą zlany,
 Myśmy pany!
 Błysk a łzawy —
 Sztandar zgniły
 Wsiąkły w ily,
 Trawy.

Targowica! szal —
 Trąby, kotły
 sens wymiotły!
 Hej! Fanfary i sztandary,
 Teatr stary!
 Głupi Maćku, Bartłomicju,
 Niech się wszystkie ludy śmieją,
 Czapkę zdejm!

Oto szlachta! Pan i stan
 Winem sehlan!
 Niepodległość! A ty sługa!
 Wkoło szlachta! Karabale,
 Noca druga.
 Gadu, gadu — słówek wiele —
 To-ci brać:
 Tak powstali, jak szli spać!

Bębny biją. Trąbią trąby. Drogą szeroką
 Mary wielgaśne, królewskie, potężne,
 Orężne, pawężne,
 siemiężne,
 się wloką.

Basetła, drumla, harmonia i zgrzyty!
 Toczą się wzgórze, wznoszą się szczyty,
 W dune serdeczną całun spowity.
 Takie to ciało
 Na mem ramieniu przed wickiem konało?
 Dusza to taka
 Znajdzie w Anhellim swego rodaka?

*

Inne powstanie, inna mogiła,
 Memu kochaniu inna odpowiedź,
 Mojej wolności inna obrona,
 Mojej tęsknocie Polska wzruszona
 się śniła!
 I Polska dobra, chlebem karmiąca
 Wszystkie swe dzieci! Serce, co świeci,
 Wichr, który leci,
 Tchnieniem rozżagwia zagasłe słońca,
 Komety ściąga, aby szerzyły
 ciepło na ziemi!
 O! Sprawiedliwa! Dłońmi białymi
 Żywych ochrania! Schodzi w mogiły

I myjąc lice grzesznej przeszłości,
Chaty w pałace zamienia!
Raju mój, raju!
Nie prosisz w gości.
Tych, co się potąd trudzą w ciemności,
Bowiem nie mieli ojczyzny?

A dziś ją mają?
O biedni, biedni,
Tak samo biedni.
A dziś ją mają??

Północ. Wśród stepu gromada się czerni:
 nasi husarze pancerni.

Późno. A jednak sen powiek nie klei;
 czuwają wszystkie dla jednej idei:
 dla Polski.

Każdy dla innej.

Po wiekach między młodzieżą
 stłumione głosy się szerzą,
 Że trzeba wstać.

I oto

słoneczne złoto

u wyostrzonych rozbłysło szpad.

Wnet promień zbladł.

Albowiem

Każdemu z nich wezglowiem,
 była odmienna myśl.

Kołatać chcą do zamkniętych drzwi:
 do Polski.

Każdy do innej.

Tak szli.

Jadą

nieliczną gromadą,
 stają, cofają się, walczą.

Z dłonią padającą
Z dala od kraju
biją się, śnią, umierają
i czynią ruch
po trzech, — po sześciu — po dwóch, —
a każdy z nich bohaterem
o sercu szczerem,
każdy szkodnikiem, zdrajcą — niecnotą.
Kto to?

*

Kiedy śmiertelna zbliżyła ich chusta,
Pocalowali się w rozwarte usta
I rzekli: -,Bracie, dusza twa czysta.“
Ten legjonista — ów legjonista.

EPILOGUS

Otworzył Chrystus serca mego księgę
 I począł czytać: kocham niewolnika,
 Któremu-m został przydan na mitręgę;
 Dusza litosna w te pędy pomyka
 Ku grzesznikowi, którego uciecha
 Krwi była wielka, a mordów zabawa
 Przyzywa piekło. Gniew mój Ciebie niecha,
 Prawico, mimo krwi upust, nie-krwawa!
 Bowiem ci sami tobie walczyć każą,
 Mówiąc: nienawiść jest Chrystusa godłem,
 Którzy mi zemstę w krew wszczepiają — wrażą,
 Czekając, rychło splamię się czem podłem.
 Głuchy na szepty ziraadliwej obmowy,
 Odpuszczam winy, nie potępiam zbrodni.
 Wiem bowiem dobrze: nie mieszka Duch zdrowy
 U tych, co wiedzy są napróżno głodni.
 I żal mi jeno, że ludzie podłotę
 Jak szmat wieszają u jasnych wrót nieba
 I ślinią jadem błyski słońca złote
 I krwawią kłosy powszedniego chleba.

W różnych stronach, 1912—1919.

S U M M A R I U M.

Prologus	strona 5
Ars longa: fundamentum meum	„ 9
Ars longa: ego	„ 15
Affectiones I	„ 21
Affectiones II	„ 31
Intervallum	„ 39
Amor	„ 47
Intermezzo	„ 61
Amoris decadentia	„ 67
Amoris philosophia	„ 75
Intervallum	„ 81
Amor Deusque	„ 89
Deus	„ 95
Homo, Deus, Diabolus I	„ 109
Homo, Deus, Diabolus II	„ 119
At patria?	„ 127
Epilogus	„ 135



1000171950

Biblioteka Uniwersytetu
M. CURIE-SKŁODOŃSKIEJ
w Lublinie

A | 30159 |